

10  
London, 22nd July, 1962

Registered at the G.P.O. as a newspaper

Dziś 6 stron

Cena 2s. 9d.

Rok XVII nr 29 (851)

LONDYN

22 lipca 1962

# WIADOMOŚCI

TYGODNIK

Redakcja i administracja: 67 Great Russell Street, London, W.C.1, tel. CHA 3644. — Prenumerata kwartalna 25s., w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$3.75, w Belgii 180 fr. belg., we Francji 17 fr., w Niemczech 15 DM., w Szwajcarii 17 fr. szw., we Włoszech 2100 lirów, w innych krajach równowartość \$3.75. Zmiana adresu 1s. Czeki należy wystawiać na „Wiadomości”. Ogłoszenia: administracja „Wiadomości”. Cena za 1 cal x 1 szpalta £1.

**C**HOCIAŻ na życiu moim Brześć zaważył na kilka lat, do wspomnień o tym epizodzie przystępuję z niejakim zakłopotaniem. Upięknęło od niego już z górą trzydzieści lat. W ciągu tego trzydziestoletnia powstała i upadła w Niemczech Trzecia Rzesza, upadła dyktatura Mussoliniego, nawiedziła świat druga wojna, w obozach niemieckich i sowieckich poginęły miliony ludzi, tysiące oficerów polskich, jeńców wojennych chronionych prawem, zginęło w Katyniu i w innych niewiadomych miejscach, miliony Polaków wywieziono do Sowietów i do Niemiec, Warszawa legła w gruzach i zniszczony został w niemałej mierze dorobek lat niepodległości.

Jakże nikt ma znaczenie w zestawieniu z tymi zdarzeniami epizod brzeski i to co się z nim wiąże! Rażą mnie także przykłady przesadzania własnych doznań niektórych ludzi dotkniętych represjami którzy obnosili się ze swoimi wspomnieniami gdy już dawno zwietrzały przez upływ czasu. Tak na przykład dla jednego z więźniów brzeskich, jego przykre przeżycia więzienne stały się centralnym zagadnieniem świata. Walkę z sanacją podjął dość późno, wtędy gdy już większość opinii w jego stronnictwie przechyliła się w tym kierunku. Po wyjściu z twierdzy brzeskiej stał się niewrażliwy na wszystkie zmiany, jakże na jego oczach dokonywały się w świecie. Widział tylko jedno zło — Brześć i jednego winowajcę — sanację. A potem przyszedł czas że przestała już istnieć Druga Rzeczpospolita i przestała istnieć sanacja, a on ciągle, aż do ostatniego dnia życia, prowadził z nią walkę. Wyglądał jak człowiek, któremu się spał dom rodzinny, a ostodę w nie-szczęściu przynosi mu myśl że przy tej okazji przepadły także karaluchy w kuchni.

Ale nie trzeba wpadać także w skrajność odmiennego rodzaju. Należy pamiętać że osadzenie przywódców opozycji w Brześciu dokonano się w r. 1930. W tym czasie nie istniała jeszcze Trzecia Rzesza i jej obozy koncentracyjne. Ustał już masowy terror okresu wojny domowej w Sowietach a nie rozpoczął się jeszcze nowy okres terronu Stalina. O łagracz sowieckich wiedzieliśmy się jeszcze bardzo niewiele i nie były one liczne. Z Włoch dochodziły skąpe wiadomości o więźniach politycznych, a zaobójstwo Matteottiego, z poduszeczenia Mussoliniego, wywołało wstrząs grozy w świecie cywilizowanym. Poza Sowietami i faszystowskimi Włochami, nigdzie nie dokonywano represji politycznych na większą skalę. Sprawa brzeska na tle ówczesnej Europy była pionierskim dziełem Piłsudskiego.

Stąd też trzeba oceniać tę sprawę tak jak rysowała się ludziom w ówczesnych warunkach i w proporcjach, jakże w owym czasie istniały. A jakże to były warunki i jakże proporcje, świadczą że ta właśnie sprawa nabrała w kraju rozgłosu, jak nie innego przedtem czy później, i wywołała poważne przesilenie moralne,

czasu nosiłem, włożyłem go do szufelki w sekretarzyku i otworzyłem drzwi. Obok Józefa stał komisarz policji, policjant i żandarm z karabinem. Było to bardzo niezwykłe, bo wojskowych aresztują żandarmi, bez udziału policji, a cywilnych — policja, bez udziału żandarmerii. Czyżby to była jakaś osobliwa forma „wzięcia do wojska”, o czym mówił Robaczewski? Dalszą osobliwość było że komisarz policji, gdy tylko wszedł do pokoju, wyjął browning, choć nic mu nie groziło. Powiedział mi, dość grzecznie zresztą i spokojnie, że ma rozkaz zaarrestowania mnie i prosi bym się do tego zastosował, gdyż inaczej będzie musiał użyć siły. Zapytałem go, kto mu dał ten rozkaz, i że chciałbym go zobaczyć. Pokazał mi z daleka, trzymając oburącz, niewielką kartkę, bez numeru i daty, mówiącą:

„Do Pana Komisarza Rządu na M. St. Warszawę. Polecam zaarrestowanie b. posła Adama Pragiera i odstawienie do miejsca przeznaczenia. Podpis: Gen. Sławoj-Składkowski, Minister Spraw Wewnętrznych”. (Następny z kolei podpis gen. Składkowskiego miałem sposobność oglądać na liście, który do mnie napisał, w niespełna trzydzieści lat później, w Londynie).

Uderzające było że rozkaz wydał minister spraw wewnętrznych, zapewne jako szef policji, bez udziału prokuratora czy sędziego śledczego. Policja aresztowała na własną rękę tylko przestępców schwytych na gorącym uczynku. Aresztowania przygotowane z góry, były zawsze dokonywane przez władze sądowe, a policja działała wówczas z ich nakazu.

Ponieważ były to czasy „nieznanych sprawców”, przeważnie oficerów (prasa uprzejmie nazywała ich „osobnikami ubranymi w mundury oficerskie”), którzy dokonali niejednego napadu na bardziej znanych ludzi, przyszło mi do głowy że może i ci nocni goście nie są prawdziwymi policjantami, że dokądś mnie wywożą i pozostawiają pobitego w polu. Powiedziałem więc owemu komisarzowi że chciałbym zatelefonować do komisarza rządu, żeby potwierdził prawdziwość rozkazu zaarrestowania. Komisarz odmówił, zgodził się jednak na pokazanie swojej legitymacji służbowej, przy czym palcem zakrył nazwisko. Zacząłem mu wierzyć że jest naprawdę policjantem. Czas nauczyły nas skromności w wymaganiach. Mogło uchodzić za pociechę że aresztowanie jest prawdziwe a nie udawane.

Ubranie się i wypicie szklanki herbaty, przed drogą do nieznanego „miejsca przeznaczenia”, zajęło mi około dziesięć minut. Komisarz już rewolwer schował, ale żandarm z karabinem chodził za mną po wszystkich kątach pokoju, gdy się ubierałem. Wyszedszy z domu, zobaczyłem prywatny samochód z zakrytym numerem. To raz jeszcze wzbudziło nieufność. Ale nie pozostawało nic innego niż rozpocząć podróż w nieznaną. Gdyśmy wsiedli do samochodu, komisarz zasunął firanki w oknach. Zapytałem go do jakiego więzienia

ADAM PRAGIER

Brześć\*)

## JAK SIĘ ZACZEŁO



Więzienie brzeskie

pewnością z rutyny więziennej, ale był umyślnie wyreżyserowany. Doświadczanie więzienne mówiło mi jednak także że nie należy się na nic skarżyć, nawet gdy władze o to pytają. Pozostawało wciąż nie rozstrzygnięte pytanie, co to wszystko ma znaczyć? Osadzono mnie w więzieniu wojskowym, choć jestem cywilem. Nie wskazano przestępstwa, za które mam odpowiadać. Władze sądowe nie biorą w tym żadnego udziału. Kto wie, czy nie ustanowiono w ciągu ostatnich godzin dyktatury wojskowej i ustaw wyjątkowych, które będą do nas stosowane? Byłem tym wszystkim mocno zaniepokojony, a ponadto zmęczony długą podróżą i brakiem snu, głodny i brudny. Nie pozostało mi innego niż sięść na stołku, oprzeć się o ścianę i próbować zasnąć. Gdy tylko pochylłem głowę, strażnik krzyknął przez otwartego judasza:

— W dzień nie wolno spać!

Więc próbowałem spać z podniesioną głową. Nie orientowałem się w czasie, ale pewnie musiało już być po południu, gdy przyniesiono obiad. Dano mi do ręki pół bochenka chleba wojskowego (wagi około 200 gr.) i postawiono na ziemi przed całą starą i pogiętą menażką z cienkimi łyżkami kartoflaną. Niezwykłe było że w tej uroczystości brał udział oficer i to dość wysokiego stopnia, bo major. Tak już miało być przez cały czas.

Odpowiedział, że na Da-

zawsze można wykonać. Putek, który leżał nade mną, cichutko dawał wyraz swojemu zaniepokojeniu, ale ja, rzecz szczególna, czułem się raczej spokojny. Powiedziałem mu, także cichutko, że Kostka-Biernackiego znam jeszcze z czasów legionowych, gdzie miał opinię okrutnika; mówiono nawet że w Kielecczyźnie w r. 1914 sam powiesił kilku ludzi. Miał to robić dla przyjemności, bo służbowo takie czynności do niego nie należały. Jako nasz gospodarz w więzieniu brzeskim, jest jednym z rzadkich w Polsce przykładów, właściwego człowieka na właściwym miejscu. Przy tym wszystkim wcale nie jest głupi. Jeżeli wdrapuje się na okno pod sufitem żeby walić w kratę ciężkim młotem, to nie dlatego żeby na serio przypuszczal iż mogliśmy te kraty wyłamać w ciągu kilku godzin, gdy strażnik wciąż przygląda się nam przez judasza. Tak samo wyciągnięcie nas z łóżek dla podpisania kartek nie było wcale potrzebne. Kostek-Biernacki po prostu wygłupia się, żeby nas nastraszyć. A gdy ktoś chce straszyc, zwłaszcza takimi jarmarczonymi figlami, nie ma powodu do obaw. To straszanie jest celem samym w sobie. (Określenie „wojna nerwów” nie było i może wtedy zna-

Przebyliśmy w północy resztę nocy, i rozpoczął się nowy, już normalny dzień. Ten dzień więzienny, wedle regulaminu, trwał od 5-jej z rana do

dopodobniej z samowoli władz wojskowych, bez udziału rządu. Chciał to jak najprędzej wyjaśnić i zapowiadał że napisze do dwóch posłów prorządowych, z którymi ma dobre stosunki osobiste, do Rajmunda Jaworowskiego i do Karola Polakiewiczę, a oni to z pewnością wyjaśnią. Podobno w późniejszym czasie próbował rzeczywiście do nich pisać, ale nie wiem czy mu pozwolono. Byliśmy razem bowiem tylko pięć dni. Pewnego popołudnia dano Putkowi rozkaz: „Zabierać rzeczy i wyjść” i pozostałem sam.

### WSPOLNA CELA Z KWIATKOWSKIM

Trwało to niezbyt długo. Na krótko przed kolacją, otworzyły się drzwi i ktoś, nagle kopnięty z tyłu, upadł na środek celi, wraz z tobołkiem, który niósł w rękę. Podniósł się, postawił tobołek pod ścianą, po czym podszedł do mnie i z uprzejmym ukłonem przedstawił się:

— Jestem Jan Kwiatkowski, były poseł. Pan pewnie mnie nie zna, bo w sejmie mało kto o mnie wiedział. Jestem z Wejherowa, na Pomorzu. Wepchnięcie Kwiatkowskiego do celi tegim kopniakiem z tyłu i dworony sposób zawarła znajomości, miały osobliwy smak. Powiedział że przebywał dotąd z Adamem Ciołkoszem i stąd dowiedziałem się, że i on jest w tym więzieniu. Z Kwiatkowskim pozostawaliśmy razem przez 30 dni. W ciągu tego czasu blisko zaprzyjaźniliśmy się. Poznałem koleje jego życia. Był chłopskim dzieckiem spod Poznania. Proboszcz polubił go i chciał go wykierować na księdza.

Po skończeniu miejscowej szkółki, jeszcze niemieckiej, wyjechał pomieścić się w seminarium duchownym prowadzonym przez OO. salezjanów we Włoszech. Ale w doświadczeniu stanu duchownego przeszkodziła mu gruźlica kolana. Na księdza nie może być wyświęcony kaleka, a on miał sztywną nogę. Wrócił tedy do Poznania, z niedokończonym wykształceniem, nie bardzo wiedząc co ze sobą począć. Ucieszył się, gdy mógł otrzymać posadę w tygodniku „Praca”, bardzo wówczas popularnym, jako t.zw. redaktor odpowiedzialny, t.j. taki który ma odpowiadać przed sądem za treść pisma. Wiedło mu się tam dobrze, ale niezbyt długo. Kiedy cesarz Wilhelm zjechał do Poznania, „Praca” napisała artykuł o tej wizycie, za który Kwiatkowskiemu wypadło przesiadzić w więzieniu, we Wronkach, z górą rok. Z rozrzuśnięciem wspominał teraz te Wronki, zastawiając je z Brześciem. Po wyjściu z więzienia, wyemigrował do Westfalii.

Tam dopiero okazało się, że ma owe zalety, które dały początek wytworzeniu się w b. zaborze pruskim przedsiębiorczego mieszczaństwa polskiego, jakiego brakuło w innych dzielnicach. Założył sobie sklepik, zarobił trochę pieniędzy a później prowadził handel mebli na raty, dla górników. Była to wtedy rzecz nowa i zrobił na tym spory majątek. Po wojnie sprzedał wszystko co miał w West-

brzeżu, a ja mówiłem mu co wiedziałem o Francji, o którą bardzo się dopytywał i o Piłsudskim, o którym wiedział niewiele.

Coraz bardziej jednak tło naszych rozmów schodziło na hodowlę ogórków i pieczarek. Kwiatkowski rozmyślał co pocznie gdy wyjdzie z więzienia, zniszczony materialnie, z dużą rodziną i obowiązkami. Umyślił sobie że zabierze się do hodowli i handlu ogórkami czy pieczarkami, albo może oboma naraz. Słyszał że pod Terespołem żydki kwaszą w pewien przemysłowy sposób ogórki i zatapiają je w beczkach na zimę, w jeziorze. Nabierają one przez to szczególnego smaku i uzyskują lepsze ceny, niż inne. Chciałby tę metodę zastosować w zachodniej Polsce i rozważaliśmy w szczegółach, jak to zorganizować i poprowadzić. Myśl o pieczarkach nasunęła mu wystawa w Poznaniu w r. 1929, gdzie był pawilon pieczarek, które tam rosły w skrzynkach i w doniczkach, na półkach zawieszonych na ścianie, a nawet w kieszeni marynarki. Obiecywał sobie że rozwinię hodowlę pieczarek na dużą skalę i będzie je rozsyłał pocztą i wózkami, w wielkich miastach.

Po kilku dniach okazało się że znaczne urozmaicenie do naszego życia więziennego wprowadzają „prace administracyjno-gospodarcze” i rewizje. Pewnego dnia wywołano nas z celi, pokazano leżące na ziemi śmietniczki i mioteczki i dano rozkaz:

— Zamiatać!

Mieliśmy zamieść korytarz na naszym piętrze, kancelarię, umywalnię i ustępy. Nie było to łatwe zajęcie, gdyż mioteczki dano nam stare, niemal bez włosia, śmietniczki były powyginane, podłoga nierówna, z wielkimi szparami, a całą tę pracę trzeba było wykonywać w postawie zgiętej, przy nieustannym nawoływaniu żandarma: „Prędej!” i wielu jego przyganach. Trwało to chyba dłużej niż godzinę, czym byliśmy bardzo zmęczeni. Nazwanie tej czynności „pracą administracyjno-gospodarczą” było eufemizmem; brakoło w niej wszelkiego elementu administracyjnego, a jej gospodarzy cel byłby łatwiejszy do osiągnięcia gdyby śmietniczki nie były pogięte a mioteczki miały trochę włosia. Ale i to były rekwiizyty wojny nerwów. Nie wystarczało jednak na pociechę usławienie sobie tego stanu rzeczy, bo trud był przy tym wielki. Wracaliśmy do celi zmęczeni i brudni, bez możliwości umycia się.

### NOCNE REWIZJE

Rewizje były zdarzeniami o wiele poważniejszymi. Zawsze odbywały się w nocy. Sprawdzano nas do piwnicy czy kazamat, zamykano każdego w oddzielnej celi, kazano rozbierać się do naga i stawać twarzą do ściany. Po chwili wchodził żandarm. Zazwyczaj rozpoczynało się od krzyków i wymyślań, często przypominających niektóre z wywiadów Piłsudskiego. Stwarzano nastrojczy grozy. Zza drzwi słychać było krzyki i jęki, a czasem strzały. Aż do wyjścia z Brześcia nie dowiedziałem się ile w tych dźwiękowych okropnościach było prawdy a ile udawania. Nie byłem pobity i

